TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II. Nr.49./57/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 3.XII.1942

Misterium Tulonu.

Kiedy w czerwcu 1940 roku czekałem na granicy hiszpańskiej na możność przejścia jej, na porzucenie kraju, który kochałem jako kraj odwagi i wolności i który teraz stawał się krajem słabości i niewoli - nagle w zrozpaczonym tłumie uchodzących przed straszliwym zalewem zobaczyłem jednego z moich przyjaciół, pisarza francuskiego, zagubionego w tym tłumie, ale zdradzającego zachowaniem się swem, że do niego nie należy.

Zaledwie parę tygodni przedtem Gerard Bauer, subtelny i inteligentny esseista, jakże czytany, szlachetnie poetyzujący Guermentes "Figara", na jakiemś u mnie zebraniu krzepił nas wiarą w tradycyjne, w ostatniej chwili obudzenie się Francji. W kilkanaście dni potem, jakby sam przerażony wypowiedzianymi słowami, trzymając moją rękę w swych dłoniach powtarzał nieprzytomnie: "Nous pouvons perdre la guerre, nous pouvons perdre la guerre".

Teraz, żegnając krewnych, którzy opuszczali Francję, nazewnątrz ten sam zawsze w swoim sławnym, wysokim, modą z przed czterdziestu lat, sztywnym kołnierzyku, zdawał mi się być już po drugiej stronie nieszczęścia, po tej, gdzie niema już żadnej nadziei i jak z paru jego słów odrazu zrozumiałem, niemal po drugiej stronie życia, spragniony chwili, gdy ono skończy się naprawdę.

Nie było czasu na dłuższą rozmowę, zwracano mi właśnie papiery, za chwilę miałem być w Hiszpanii, która, o ironio! zdawała się teraz tysiącom nieszczęśliwych ziemią obiecaną wolności. Jedno podanie ręki i oto ostatni przyjaciel Francuz zniknie mi z oczu, a z nim pożegnam jedno z najdroższych złudzeń mego życia, złudzeń tak mocnych, że zdawało mi się wtedy,może nie potrafię łudzić się po ich utracie. Chcę coś powiedzieć memu przyjacielowi, jakąś pociechę, jakieś słowo wdzięczności, które winienem jest jego ojczyźnie za dziesięć lat rozmyślań i marzeń i nic nie mogę wydobyć z gardła, ściskam tylko drżącą podaną mi rękę. I wtedy słyszę słowa, niesłyszane dotąd nigdy z ust żadnego Francuza, słowa jakże odmienne od owych zaklęć współczucia, któremi nas karmiono tutaj od stu lat przeszło, słowa, w których zdaje się zamykał całą wzniosłość broniącej się Warszawy i całą rozpacz po hańbie poddającego się Bordeaux:

"Quel bonheur d'etre polonais",/"Co za szczęście być Polakiem"/.

Nieraz od tej chwili wracały mi na pamięć te słowa jako największa pociecha w polskich troskach, ale zarazem jako objawienie tragedii, której ogrom zmierzyć mógł ten tylko, kto wiedział jak dumni byli Francuzi, jak zresztą słusznie byli dumni ze swej historii, tak jeszcze niedawno przewodzacej światu.

Widziałem w przeddzień rozejmu rozbawionych posłów i damy w wieczorowych sukniach bankietujące w niesławnym, nazawsze niesławnym "Splendid" w Bordeaux, widziałem wszystko, co można było wtedy widzieć małego, tchórzliwego, zgniłego we Francji. Ale pamiętam także ową szlachetną damę francuską, której dwuch synów było w niewoli i która stojąc blada na tarasie tegoż samego Splendidu, zapytana czy wyjeżdża, odpowiedziała mi: "Partir ou rester - c'est la meme chose" /"Wyjechać czy zostać - to przecież to samo"/.

I nie zapomnę, jak wśród tłumu rozbieganych, bezmyślnych, zbrodniczo niepojmujących co się stało polityków, zobaczyłem nagle nieszczęsnego, jakże winnego Raynaud z taką twarzą, że ten mały, komicznie wyglądający człowieczek wydał mi się nagle wielkim świadomym aktorem starożytnej tragedii. I myśląc z dumą, ze szczęściem bezmiernem, że jestem Polakiem, myślałem, że przecież była jedna chwila w historii, kiedy i my musieliśmy milczeć i płakać w milczeniu i że salony grodzieńskie w dniach ostatniego Sejmu musiały wyglądać tak samo mniej więcej, jak hotel Splendid w Bordeaux, i że Repnin był w niektórych domach w Warszawie przyjmowany tak właśnie jak Abetz w Paryżu i że Naruszewicz pisał ody do Katarzyny a Krasicki śmieszył Wielkiego Fryderyka. I ta hańba, w której nie utonęliśmy, bośmy mieli Kościuszkę i Sejm Czteroletni - o parę zaledwie lat wyprzedziła najpiękniejszy rozkwit polskiego ducha, polskiego bohaterstwa, ledwo milkły echa Targowicy a z ziemi włoskiej do polskiej szły dźwięki pieśni legionów, na grobie, jakże słabych wolą poetów stanisławowskich zakwitało drzewo poezji Mickiewicza, mające zagłuszyć swym potężnym szumem wszystko co było małe w polskiej duszy.

I dlatego w głębi serca wydawało mi się to niemożliwe, aby haniebny upadek Francji był jej ostatecznym upadkiem, aby słabość, nikczemność i zdrada miały zapanować nazawsze nad siłą, z której urodził się cud Marny, nad mądrością, która wydała "Rozprawę o metodzie", nad harmonią, która układała strofy "Fedry". I wydawało mi się, że temu przebudzeniu się Francji powinno pomagać najgłębsze pragnienie serc polskich, które nie byłyby polskie, gdyby nie były wspaniałomyślne, że powinna je wspierać myśl polska pojętna, że koniec Francji - byłaby to klęska właśnie tej kultury, której nasi wrogowie wydali walkę na śmierć i życie i o której bohaterski rozwój walczy naród polski.

Samobójstwo floty francuskiej w Tulonie jest to misterium odkupienia przez naród francuski jego win i słabości, misterium, którego tragiczne piękno czeka na słowo wielkiej poezji i zdolne jest tą wielką poezję obudzić. Jest ono nie ostatnim słowem poniewieranej przez najeźdźców narodu polskiego kultury zachodniej, ale tryumfalnym, wierzę w to, wielkim słowem jej przebudzenia, choć nierówne doniosłością wielkim zwycięstwom francuskiej historii, góruje ono nad największem potężnem pięknem moralnem, wywodzącem się nie z szumnych zwycięstw Napoleona, ale jakby z wzniosłej ofiary Joanny d'Arc.

Niema serca polskiego, oddanego pamięci o bohaterstwie Westerplatte i Warszawy, któreby nie dyszało od tej wieści, niema Polaka, szczęśliwego, że jest Polakiem, któryby nie zrozumiał, co teraz czuć muszą Francuzi.

Przyjacielu, któryś mnie żegnał przed dwoma laty, złamany niewiarą w swój naród, podnieś głowę!

Jan Lechoń

Z i e m i e   i n k o r p o r o w a n e .

Ziemie polskie, przyłączone do Rzeszy dekretem Hitlera z dnia 8 października 1939 r., składają się z województw poznańskiego, pomorskiego, śląskiego, prawie całego województwa łódzkiego, części krakowskiego i warszawskiego.

Na ziemiach tych, według spisu ludności z r.1931, mieszkało 9,398,600 ludności, z czego

Polaków	8,202,300
Niemców	623,400

/ilość Niemców na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej wynosiła 741 tysięcy/
co w stosunku do ogólnej liczby ludności na ziemiach polskich inkorporowanych do Rzeszy daje

6,0 procent Niemców.

Od roku 1931 ilość ogólna ludności na ziemiach przyłączonych do Rzeszy przy przyroście rocznym od 1,1 do 1,2 wzrosła o przeszło milion, ale procent Niemców raczej się zmniejszył, ponieważ przyrost ludności niemieckiej był znacznie mniejszy od przyrostu ludności polskiej.

Gauleiter Wartheland Foerster, przemawiając w Bydgoszczy dnia 27. IX. 1939 r. oświadczył:

Kto należy do narodu polskiego ten musi ten kraj opuścić...

Ten sam dygnitarz hitlerowski w dniu 6. X. 1940 r. przemawiając w Kaliszu do kolonistów niemieckich zapowiedział otwarcie:

- Za dziesięć lat nie będzie tu snopka zboża, któryby wyrósł na ziemi polskiej... Chłop polski nie jest właściwie w naszych oczach chłopem, a zagroda jego przypomina zagrodę kafrów-zulusów. Jeśli istnieje Bóg i sprawiedliwość to upatrzył on sobie Adolfa Hitlera, który ma wyrzucić stąd tę hołotę... -

Jeśli chodzi o ziemie "inkorporowane" plan niemiecki jest prosty: zgodnie z ogłoszonymi zamierzeniami Berlina do r. 1950, a więc za lat dziewięć, na ziemiach tych nie ma pozostać najmniejszy ślad polskości.

Plan ten został opracowany z precyzyjną dokładnością, aż do najdrobniejszych szczegółów, a realizację oddano, najpierw dla przygotowania terenu, w ręce Gestapo, a później specjalnej organizacji, która nosi nazwę "Haupt Treu-Hande-Stelle Ost".

W całym szeregu mów i publikacyj przyznają Niemcy otwarcie, że metoda germanizacji i asymilacji, stosowana przez Niemcy wilhelmowskie, została całkowicie odrzucona. Na ziemiach "inkorporowanych" wszyscy Polacy muszą być wytępieni, względnie z nich wyrzuceni. "Doświadczenie wieków uczy - tak mówił jeden z 'Brigade-Fuhrer'ów' w poznańskim - że metody germanizacji i mieszania nie prowadzą do niczego, bo po dłuższym lub krótszym okresie czasu, rozpoczyna się na nowo proces rozkrzewienia polskości".

Więc - jak pisze oficjalny organ hitlerowski ziem inkorporowanych "Ostdeutscher Beobachter" w numerze z dnia 1.I.1941 r. - hasłem Niemców na ziemiach inkorporowanych ma być najbezwzględniejsza twardość /Auserste Harte/, "rzeczą Polaków jest być uprzejmymi, Niemiec natomiast musi widzieć w Polakach konieczne zło, które jeszcze nie mogło być całkowicie usunięte."

Program niemiecki wyłuszczył zresztą Dr.Ley w następujących aż nader jasnych słowach,ogłoszonych 4.II.1940 r. w "National Zeitung"/Essen/

- Każdy naród - twierdzi Dr.Ley - musi prowadzić walkę, zapewniającą prawa życiowe jego rasie. Niższa rasa potrzebuje mniej żywności i mniej kultury,niż rasa wyższa. Nigdy nie może żyć niemiecki człowiek w takich samych warunkach, jak Polak lub Żyd.

Robota zaczęła się we wrześniu 1939 r. Częstokroć już w parę godzin po wkroczeniu wojsk niemieckich do miast i wsi zachodniej Polski, zjeżdżały silne oddziały Gestapo dla przeprowadzenia krwawej "czystki". Kto z wybitniejszych Polaków, kierowników opinii danego miasta, miasteczka czy wsi, nie zdołał uciec, padał bez sądu ofiarą zemsty plutonów egzekucyjnych. Przeważnie zmuszano biciem ludność danej miejscowości i rodziny skazańców do asystowania przy egzekucji. W ciągu września i października rozstrzelano w samym Poznańskim, na Pomorzu, na Śląsku kilkadziesiąt tysięsy ziemian, chłopów, adwokatów, lekarzy, księży, nauczycieli. Pozostałą na miejscu arystokrację polską wycięto niemal w pień. Ponad 100 tys. Polaków z ziem inkorporowanych zamknięto w obozach koncentracyjnych.

A później przyszła fala dekretów i rozporządzeń wywłaszczeniowych. W ciągu paru miesięcy przeszło milion Polaków, jako pierwszą "transzę" pozbawiono wszystkiego. Zabrano im dosłownie wszystko: ziemię, lasy, fabryki, domy, urządzenie domowe, urządzenia warsztatów rzemieślniczych, pieniadze, kosztowności, konta bankowe. Wszystko z wyjątkiem walizki, ubrania, dwu koszul, bucików i żyletki.

Rodzinom wywłaszczonych Polaków zostawiono w mieście od 15 minut do 2 godzin, na wsi często nie więcej jak 10 minut czasu na spakowanie się i zostawienie swej sadyby w największym porządku. Tak, w pewnym wypadku wypędzonej z własnego domu rodzinie majstra ślusarskiego, z ciężarną matką i trojgiem małych dzieci, polecono w ciągu dwu godzin wynieść się i zostawić w uprzątniętym mieszkaniu kwiaty w wazonach i ... odgięte rogi kołder na zasłanych łóżkach, by rodzina niemiecka, która nazajutrz miała się sprowadzić, zastała nietylko porządek ale i nastrój familijnej "Gemutlichkeit".

W fabrykach i warsztatach rzemieślniczych, rabowanych bez grosza odszkodowania, pod grozą najsurowszych kar nie mogło brakować ani jednej śrubki.

Wysiedlenie ludności polskiej z miast odbywa się nocami. Oto, co czytamy w zeznaniu wiarygodnej osoby, która była świadkiem tego precederu:

Po godzinie 7 wieczór, w czasie gdy ludności nie wolno wychodzić na ulice, hula Gestapo: wdziera się do mieszkań, wyrzuca śpiąca ludność z łóżek, dając 15-30 minut czasu na ubranie się. Całe rodziny wsadza się do oczekujących na ulicy autobusów, przyczym - w zależności od wykonujących przesiedlenie - wolno zabrać garstkę najniezbędniejszych rzeczy do codziennego użytku, a ostatnio już tylko jedną parę bielizny na zmianę na osobę. Nie uwzględnia się chorych, dzieci, starców, kobiet w bólach porodowych... Wszystkich spędza się z łóżek i wypędza na ulicę. Wysiedlonych umieszcza się w obozach bez pieców, trzyma się kilka dni a nawet tygodni na głodowym wikcie, a następnie wywozi się nierzadko przy kilkunastostopniowym mrozie na ziemie t.zw.gubernatorstwa, wysadza się - jeśli ktoś nie zamarzł w pociągu lub nie zmarł z wycieńczenia - i puszcza się na wolną stopę...

Akcja masowego wysiedlania Polaków obejmowała w pierwszym etapie ludzi posiadających majątek oraz inteligencję, ostatnio wszystkie warstwy społeczne. Po nocnym wysiedleniu Polaków z mieszkania przychodzi Gestapo i rabuje na własną rękę przedmioty wartościowe, a następnie uprząta mieszkanie i przydziela je "Baltendeutschen"...

W Poznaniu odbywa się wysiedlanie co noc z małymi przerwami po paręset do dwu tysięcy na każdą noc. To samo dotyczy innych miast i miasteczek oraz osiedli wiejskich.

Ludzi młodych w wieku wojskowym chwyta się na ulicy i legitymuje czy mają zaświadczenie pracy. Jeśli nie posiadają zaświadczeń - zatrzymuje się ich i wysyła do przymusowych obozów pracy w głąb Niemiec. Inteligencję stara się całą wyniszczyć lub wywieźć. Wszystkich nauczycieli

Polaków i wszystkie nauczycielki Polki wywieziono.

Wywłaszczono i wywłaszcza się w dalszym ciągu nie tylko chłopów, którzy nabyli gospodarstwa rolne po r. 1918, ale także i tych wszystkich którzy od dziada-pradziada gospodarowali na własnym kawałku ziemi jeszcze na długo przed wojną światową pod zaborem pruskim. Po wywłaszczonych gospodarstwa obejmują przeważnie Niemcy bałtyccy, a także w wielu wypadkach Niemcy miejscowi i z Rzeszy. Ci ostatni obejmowali przeważnie gospodarstwa wielkie i lepiej zagospodarowane.

W wielu wypadkach, gdy koloniści niemieccy zajeżdżaja do wsi i oświadczają właścicielowi gospodarstwa, że przechodzi ono na własność Niemców, proponują czasami, by dawny właściciel pozostał jako parobek. Większość jednak woli iść na tułaczkę...

A sama z szatańską pomysłowością przeprowadzona procedura deportacji! Jedna z ofiar tej metody, której później udało się zbiec zagranicę zeznaje:

Przy wysiedlaniu nie zwracano uwagi na wiek ani na chorobę. Wysiedlano zarówno matki w połogu, jak i starców konających. Wysiedleńców wywożono w wagonach bydlęcych, nieopalonych, przez wiele dni bez pożywienia. Pociągi stały na stacjach, zgłodniałe dzieci płakały głośno. Gdy ludność zwabiona płaczem dziecinnym rozdzierającym serce, cisnęła się z pożywieniem, odpędzano ją kolbami. W Inowrocławiu jedna kobieta mimo zakazu rzuciła głodnemu dziecku do wagonu bułkę. Skazano ją na trzy lata więzienia. Matka prof.S. w Poznaniu,staruszka 86-letnia,miała złamaną nogę w biodrze. Gdy ją znoszono po schodach, syn zostawił na ziemi walizkę i palto, by ją podtrzymać. Umieściwszy chorą matkę w furgonie, chciał wrócić na schody po pozostawioną tam walizkę i płaszcz. Nie pozwolono. Wysiedleniec raz wyszedłszy z domu niema już prawa powracać. Darmo prof. S.tłumaczył, że miał ten płaszcz zabrać ze sobą i tylko ze względu na chorą matkę na chwilę go położył.

- Nie trzeba było odkładać...

I pojechał bez płaszcza.

Sparaliżowana J.G.wywieziona w wózku, została z wózkiem wepchnięta w kąt baraków i zapomniana. Nie mogąc o własnej sile zejść z wózka zmarła w nim z głodu.

Pociągi, którymi wożono przesiedleńców, po przejściu granicy ziem inkorporowanych, stawały z reguły w polu, w odległości kilkunastu kilometrów od najbliższego miasteczka czy wsi. Otwierano wagony i kazano wysiadać i iść dokąd oczy poniosą...

W samych pociągach - przesiedlanie odbywało się i odbywa się przeważnie w zimie - pozostają dziesiątki osób zmarzłych na śmierć. Około 10.I.1940 r. wyładowano w Toruniu 42 trupy z jednego wagonu przesiedleńców, 25 trupów z drugiego.

Uzasadnienie tych zbrodni ze strony niemieckiej jest bardzo proste: Niemcy jako naród wyższy potrzebują "przestrzeni". Polacy jako naród mniej wartościowy, muszą wobec tego ulec zagładzie. W publicystyce niemieckiej znajdujemy jeszcze drugi rodzaj usprawiedliwienia bestialstw niemieckich wobec Polaków. We wrześniu 1940 r. "Volkischer Beobachter" wystąpił z tezą odpowiedzialności całego narodu polskiego za "zbrodnie" administracji i nacjonalistów polskich popełnione w czasie wojny we wrześniu 1939 r. "Zbrodnie" te wyglądały następująco: W czasie walk polsko-niemieckich w pierwszych dniach września 1939 r. na ziemiach zachodnich, w kilku miastach i miasteczkach, w szczególności w Bydgoszczy, 5-ta kolumna niemiecka wzięła udział w walkach, strzelając z okien domów do walczących żołnierzy polskich. Rzecz jasna, że cywilnych kombatantów, obywateli Państwa Polskiego, schwytanych z bronią w ręku na zdradzie, rozstrzeliwano. Z tego propaganda p.Goebelsa, fotografując często zwłoki pomordowanych Polaków i przedstawiając je jako "niemieckie ofiary pol -

skiego bandytyzmu" - sfabrykowała legendę o martyrologii niemieckiej i teraz mówi: "za zbrodnie te odpowiedzialny jest cały naród polski i każdy Polak z osobna po wszystkie czasy /ein fur allemal/. W praktyce teza doprowadziła do stosowanej na terenie całej okupacji zasady, że życie Polaka wogóle nic nie jest warte.

Na jakich podstawach oparta została sfabrykowana przez p.Goebelsa legenda o "okrucieństwach polskich" niech świadczy fakt następujący:

Dla zbadania "polskich okrucieństw" Niemcy wyznaczyli specjalną komisję sądowo-lekarską, która po rocznej blisko pracy stwierdziła 250 wypadków "polskiego terroru"...

W ciągu pierwszego roku okupacji ziem inkorporowanych, po całkowitym obrabowaniu ze wszystkiego, deportowano na wschód przeszło milion Polaków, ziemian, kupców, przemysłowców, chłopów, adwokatów, nauczycieli, lekarzy. W tym czasie ludność Nebenland'u, t.zn.Generalgouvernement wzrosła - według źródeł niemieckich - z 12,5 do z górą 15 milionów mieszkańców.

Co się stanie z tymi ludźmi?

Generałgubernatorstwo zostało tak skonstruowane, że obejmuje biedne i niewystarczalne rolnicze części Polski. Na ziemiach Generałgubernatorstwa normalna gęstość zaludnienia wynosiła 120 głów na kilometr kw. dziś prawdopodobnie przekracza 130 głów na km,kwadratowy. W normalnych czasach prowincje te miały przeszło milion ton deficytu zbożowego, jeśli do tego dodać, że Niemcy niszczą planowo przemysł i ogałacają ten kraj z żywności, jasną się stanie rzeczą, jaki los spotka ludzi inkorporowanych do Generałgubernatorstwa. Krótko mówiąc, jeśli okupacja potrwa parę lat, wysiedlenie będzie równało się śmierci dla paru milionów ludzi.

Życie tych Polaków, którzy - jako "zło konieczne" - zostali jeszcze na tej ziemi, jest jednym pasmem męczeństwa. Faktycznie wyjęci z pod prawa, nie-obywatele, a tylko "przynależni" do Reich'u /Reichsangehorige/ - z okresu niewolnictwa zaczerpnięte pojęcie żywej własności - poddawani są nieustannie, poza wszelkimi innymi szykanami, przemyślnie zorganizowanemu systemowi upokorzeń. Polak z zasady ma niższą płacę jako robotnik, krótszy urlop, mniejszy kontyngent kart żywnościowych i odzieżowych. Między 7,15 a 8,15 rano, gdy wszyscy śpieszą do pracy, Polakom wogóle nie wolno korzystać z tramwajów, w innych godzinach mogą jeździć tylko osobnymi wozami tramwajowymi. Tysiace młodych dziewczyn polskich oddaje się do domów publicznych dla żołnierzy niemieckich, rekwirując je masowo po wsiach i miasteczkach. Za "zadawanie się" z Polakami, grożą Niemcom wysokie kary więzienia, a spraw sądowych między Polakami a Niemcami wogóle niema, bo wynik zgóry - bez względu na istotę sprawy - jest przesądzony.

A tymczasem spustoszałe domy, zagrody i warsztaty, mieszkania z kwiatami w wazonach, czekają na nowych panów.

Zgodnie z niemieckim planem w ciągu 10 lat osiedlonych ma być na ziemiach inkorporowanych, na miejsce wypędzonych Polaków, 2 miliony Niemców.

Z początku wydawało się to bardzo prostą rzecza. Od tylu lat "80 milionów głodnych żołądków niemieckich" czeka jakoby na obranie nowej przestrzeni życiowej...Niemcom brak ziemi...Niemcy duszą się...

A tymczasem gdy przyszło do realizacji, okazało się po kilku zaledwie miesiącach, że na miejsce wypędzonych czy deportowanych Polaków, niema dostatecznej ilości niemieckich braci-kolonistów, że w niemieckim planie kolonizacyjnym była jakaś pomyłka, jakiś błąd w kalkulacji.

Pierwszych kadr kolonistów rolniczych i miejskich dostarczyli Niemcy wschodni, rozkazem Hitlera sprowadzeni z krajów nadbałtyckich, z Wołynia, z Besarabii, Bukowiny, Dobrudży i Transylwanii. Ale tych Niemców, gwałtem wyrwanych z ich siedzib i często już nie umiejących po niemiecku, jest w sumie najwyżej 500 do 550 tysięcy.

Skąd wziąć resztę?

- Oczywiście z "Altreichu". Za rok czy dwa, gigantyczne armie Hitlera zostaną zdemobilizowane, znajdą się miliony...

Tak wygląda teoria. W rzeczywistości jednak...

W rzeczywistości jest tak, że Niemcom brak nie tylko materiału do kolonizacji rolniczej, ale także brak ludzi do zaspokojenia własnych potrzeb agrarnych.

Ruch ludności w Niemczech w ostatnim 70-leciu wyglądał w cyfrach jak następuje: /dane w milionach mieszkańców/

	całość	wieś	małe miasta	wielkie miasta
1871	41,5	26,0	13,0	2,5
1900	57,5	25,5	23,0	9,0
1934	79,0	25,0	31,0	23,0

W r.1871 ludność wiejska Niemiec stanowiła 64 procent, a ludność miejska 36 procent ogółu ludności Niemiec. Po 70-ciu latach doszło do stosunku odwrotnego: wieś - 32 procent, miasta - 68 procent.

W ciągu ostatnich sześciu lat ludność wiejska w Niemczech zmniejszyła się o 10 procent, a 1.450.000 włościan przeniosło się do miast.

I to wszystko mimo i wbrew usilnej akcji gospodarczo-społecznej rządu, ulgom, kredytom,"Erbhof'em" i wytężonej propagandzie za powrotem na ziemię!

Nowe gospodarstwo niemieckie odstępuje się przesiedleńcom "celowo bez zaliczki", a tylko za przejęciem określonej przez urząd osadniczy wespół z Reichsnachamtem renty, przyczym musi być ona znośna przy uwzględnieniu "sposobu włościańskiego życia, przyzwoitego gospodarowania i stosownego kształcenia dzieci." Jest zatym całkowicie oderwana od kosztów produkcji i wydajności gospodarstwa. Inwentarz martwy wydaje się razem z zagrodą, a o ile nie daje się sprowadzić żywego, pomaga się kredytami długoterminowymi.

Dziś sami Niemcy zdają sobie sprawę, że ich plan kolonizacyjny zawisł w powietrzu. Ilość dobrowolnych zapisów w ostatnich czasach jest znikoma i nic nie pomaga system protekcyjny Osthilf'u, kredyty, ulgi podatkowe, miliony ulotek i broszur propagandowych, skoro brak...ludzi.

Władze kolonizacyjne wpadły więc na genialny pomysł:

Skoro niema dość ludzi niemieckich, więc miejsca ich wypełnią... drzewa niemieckie. I tak urodził się wielki plan zalesienia blisko 1/3 inkorporowanych do Rzeszy ziem polskich. Będzie z tego dodatkowa korzyść. Poza ekonomią w gospodarce ludzkiej, zmiana krajobrazu na "urdeutsch". Nie pomyśleli zapewne autorzy tego projektu, że w razie jego realizacji wyrosłyby na zrabowanych ziemiach polskich miliony pomników-mogił nad milionami pomordowanych i deportowanych Polaków.

Tak wyglądają plany niemieckie i ich dotychczasowa realizacja na ziemiach polskich "inkorporowanych" do Rzeszy.

Stanisław Strzetelski

"TYGODNIK POLSKI", nowe pismo, które ukaże się w styczniu, pragnie stać się ośrodkiem pracy duchowej pisarzy, naukowców i specjalistów rozlicznych dziedzin, przebywających dziś w Ameryce, chce być łącznikiem pomiędzy twórczą myślą narodów, walczących przeciw Niemcom a myślą polską,łącznikiem między uchodźtwem polskim a Polonią amerykańską.

"TYGODNIK POLSKI" będzie poświęcony wszystkim dziedzinom życia polskiego, szczególnie zaś toczącej się walce narodu polskiego o wolność.

Rehabilitacja "Marsylianki".

"Zebraliśmy się dnia 14-go lipca - jak to nam generał de Gaulle przez londyńskie radio polecił był - po południu i tłumnie defilowaliśmy przed pomnikiem żołnierzy, którzy padli na polach bitewnych wojny 1914-1918 roku. W obchodzie święta narodowego wzięli udział, za nielicznymi wyjątkami, chyba wszyscy mężczyźni i kobiety, a nawet dzieci, naszego miasteczka. Ale wbrew poleceniom generała de Gaulle'a defilowaliśmy w absolutnem milczeniu - nie śpiewaliśmy "Marsylianki". Nie mogliśmy śpiewać tej samej "Marsylianki", którą dziś grają przed i po służalczych deklaracjach pro-niemieckich panów z Vichy; nie mogliśmy śpiewać tej samej "Marsylianki", która zbeszczeszczona została ustami bandytów szajki Doriot'a, porucznika niemieckich wojsk; nie mogliśmy śpiewać tej samej "Marsylianki", której dźwiękami witani są na urzędowych ceremoniach rozmaici oficjalni zdrajcy Francji. Nie śpiewaliśmy jej, bo święcie wierzymy, że będzie nam danem śpiewać ją w godniejszych "Marsylianki" czasach i okolicznościach".

Takiej treści list czytał pewnego dnia londyński radio-speaker "Francji Walczącej". Czytał ten list - pisany przez jakąś bezimienną "gaulle'istkę" z nieokupowanej strefy - zaledwie przed paru miesiącami. W perspektywie ostatnich wydarzeń jakżeż to dawno już było!...

Epos bohaterstwa tej wojny składa się z wielu odrębnych rapsodów narodowych, bo każdy naród chciał lub musiał okupywać krwawą ofiarą rycerską winy, błędy, grzechy - niezawsze nawet własne... A już z pewnością, nie wszystkie świadomie popełnione.

Z pośród wszystkich narodów, w których duszy tragedia barbarzyńskiego najazdu niemieckiego wznieciła płomień bohaterskiego patosu, najdłużej z ofiarnym gestem ociągał się naród francuski. Jak gdyby zbierał siły, czując, że wielkość gestu tego będzie musiała być zakrojona na miarę wielkości przewinienia.

Grzech bowiem, którego dopuścił się naród francuski, był straszliwie ciężki - był grzechem, popełnionym w obliczu całego świata przez ojczyznę "Marsylianki" w stosunku do samej Francji. Francja Racine'a i Corneille'a była od wieków ojczyzną bohaterskiego koturnu; Francja Rouget de l'Isle'a była od pokoleń ojczyzną bohaterskiego czynu; Francja Napoleońskiej epopei była dla całego świata ojczyzną bohaterskiej "Marsylianki". Francji gest ofiarny musiał być zrehabilitowaniem się wobec własnej swojej chwały nieśmiertelnej.

Na taką wiekopomnie monumentalną miarę dokonali gestu ofiarnego marynarze Tulonu. Przywrócili Francji prawo śpiewania:

"Allons enfants de la Patrie
Le jour de gloire est arrivé ..."

Zygmunt St.Klingsland

Zawiadamiamy naszych czytelników, że z dniem 1-go stycznia otrzymywać będą "TYGODNIK POLSKI". Warunki abonamentu ogłosimy w najbliższych dniach. Uprzejmie prosimy o pozyskiwanie wśród przyjaciół i znajomych - prenumeratorów "TYGODNIKA POLSKIEGO".
